

Takich ludzi się nie zapomina

Prof. dr hab. Władysław Gałasiński

Kiedy z ciężkim sercem podjęłam decyzję o opuszczeniu mojego kochanego miasta studiów – Lublina, i Zakładu Biologii Molekularnej UMCS-u, mój pierwszy szef i ówczesny rektor uczelni, nieżyjący już prof. Eugeniusz Gąsior, zdecydował, że zgodzi się na moje odejście pod jednym warunkiem: odda mnie we właściwe ręce – profesora Władysława Gałasińskiego. Jechałam na pierwsze spotkanie z prezydentem – kazeiną, i zapewnieniami moich współpracowników, że prof. Gałasiński przyjmie mnie jak rodzony ojciec. Rzeczywiście Profesor przyjął mnie bardzo ciepło, ale pomimo to do Lublina wracałam z mieszanymi uczuciami. Mój przyszły szef bardzo szybko i dużo mówił, a ja nie mogłam nadażyć ani za jego myślami, ani za jego szybkim krokiem.

Od października 1987 roku rozpoczęłam pracę w Zakładzie Chemii Ogólnej Akademii Medycznej w Białymstoku. Na początku nie mogłam przyzwyczać się do stylu bycia i wymogów mojego nowego kierownika, a szczególnie do tego, że o różnych porach dnia zjawiał się przy biurku lub przy stole laboratoryjnym i pytał: co robimy i co nam wychodzi? Pamiętam, jak przeżywałam każdą preparatykę izolacji rybosomów ze szczurów. Musieliśmy być do niej perfekcyjnie przygotowani, nawet przestawiony w inne miejsce rotor naruszał ład, bardzo ceniony przez Profesora. Już przed szóstą rano, gdy szczury jeszcze spały, ustawialiśmy się w chłodni, przyjmując pozycję, jaka obowiązuje po komendzie „bacność”. Profesor, po sprawnym wyjęciu szczura z klatki, jednym zdecydowanym ścisaniem ostrych nożyc pozbawiał go głowy, po czym szczur trafiał do nas. Z obawy, że nie zdążę przed następnym „pakunkiem”, drżały mi ręce, co niezmiernie utrudniało mi wycięcie wątroby. Wątroba, po skrupulatnym zważeniu i rozdrobnieniu, w tempie błyskawicznym trafiała do homogenizatora współpracownika, który również w szybkim czasie musiał wykonać swoje zadanie. Do dziś z uśmiechem wspominam jedną z preparatyk, gdy homogeni-



Profesor W. Gałasiński na spotkaniu z czytelnikami w czasie promocji książki *Mój tato „Duszek”*. Biblioteka Główna UMB, 2010 r.

zacją zajmował się kolega, przyjęty do pracy niebawem po moim przybyciu. Otóż, przez nieodpowiednie ruchy pistlem, homogenat z co najmniej kilku wątrób wyładował na suficie i natychmiast został zidentyfikowany przez Profesora. Do dziś nie wiem: czy ten fakt, czy inne wpadki zdecydowały o krótkiej pracy mojego kolegi?

Kiedyś Profesor wyraził zgodę na samodzielne „szczurobicie”, co pozwoliło nam docenić jego niesamowity spryt. Włożenie ręki do klatki z nieźle zorientowanymi w sytuacji i nieusypianymi szczurami było bowiem nie lada wyzwaniem. Zdarzało się, że zamiast preparatyki organizowaliśmy pogoń za uciekinierem. A najważniejszy był końcowy efekt preparatyki, gdy Profesor, oglądając „gołym okiem” rybosomy w probówce, oceniał ich aktywność i wyrażał zadowolenie lub dezaprobatę.

Profesor bardzo dbał o każdy sprzęt, a szczególnie o ultrawirówki i kolektory. Pamiętam, jak wieczorami w chłodni układałam kolejne kolumny i pilnowałam, aby nie spadła choć jedna kropelka poza probówkę i nie zanieczyściła kolektora. Z tego powodu często opuszczałam zakład

późnymi wieczorami. Szef nie pozwalał nam nigdy włączyć ultrawirówki. Bardzo się przejmował każdą awarią urządzeń i osobiście sprowadzał specjalistów, czuwając nad każdą naprawą. Wiele cenniejszych odczynników było zabezpieczonych przed ogólnym dostępem. Gdy prosiliśmy o wąż dializacyjny (i to dość często), najpierw opuszczaliśmy gabinet, a Profesor udawał się z kluczem do chłodni, gdzie miał swoje sejfy i, po przyniesieniu węża do pracowni, odcinaliśmy potrzebną nam ilość.

Przy ważnych okazjach częstował nas zmrożonym napojem typu Hajduczek, w recepturę którego była wtajemniczona tylko jedna najstarsza pracownica zakładu. Na swoich imieninach częstował nas lodami waniliowo-owocowymi i, niezależnie od liczby gości, każdemu donosił solidną porcję.

Profesor Gałasiński, odkąd go poznałam, właściwie do ostatnich lat był bezgranicznie oddany pracy i tego samego wymagał od nas. Praca była dla niego najważniejsza. Pamiętam, gdy w przededniu zjazdu biochemicznego w Toruniu, na

którym miałam prezentować ustnie swoje pierwsze wyniki badań, dostałam ataku wyrostka robaczkowego. Profesor oświadczył, że następny atak może być nawet za 25 lat i powinnam jechać. Na szczęście, w drodze po bilety na pociąg, spotkałam koleżankę lekarkę, która zaprowadziła mnie na ostry dyżur i już po godzinie byłam operowana. Pamiętam też, że przed wyjazdem na stypendium miałam kilka miesięcy zaległego urlopu. Trzeba również przyznać, że pomimo surowych wymagań, na wiele naszych błędów Profesor przymykał oko. Myślę, że tak po prostu, po ludzku, rozumiał młodzież.

Moment przejścia na emeryturę, tak trudny do zaakceptowania przez Profesora, i długie lata po nim, to inny etap wspomnień. Dopiero wtedy dowiedziałam się, jak bardzo kochał fiołki, które mieniły się wszystkimi kolorami w jego pokoju i o które sam dbał. Po przyjeździe do pracy, Profesor grzałką gotował wodę, zaparzał mocną herbatę, robił potem dolewki, i wyciszony pisał, pisał i pisał... najczęściej ołówkiem na jednostronnie zużytych kartkach papieru. Nie wymagał wiele, ostatnio wystarczył mu stół z gumowym obiciem w pracowni izotopowej, ale ta praca była motorem jego życia. Pytany o odpoczynek w czasie wakacji, zawsze żartował, że szef nie chce udzielić mu urlopu, że jeszcze nie zasłużył. Robiąc „obchód”, pozdrowiał nas często w języku serbskim, żartował, pytał o wnuczęta, czyli nasze dzieci, odkrywał siebie, mówiąc wierszyki, śpiewając piosenki, wykazując się przy tym fenomenalną pamięcią. Nie zapisywaliśmy ich, nie próbowaliśmy ich zapamiętać, bo przecież zawsze, nawet w najmniej oczekiwanych momentach, bez względu na pogodę, Profesor zjawiał się w zakładzie, ostatnio nawet po to tylko, żeby się przejść. Pomimo ostatnich kłopotów ze zdrowiem, nie poddawał się, nie narzekał, a pytany o wiek, odpowiadał, ile mu brakuje do setki. Nie wątpiliśmy, że dożyje do niej. Stało się inaczej.

Dzisiaj, czytając jego wspomnienia, w których opisuje wydarzenia ze swojego jakże niełatwego życia, w którym przyszło mu niejednokrotnie stoczyć dramatyczną walkę o życie, chyba rozumiem, dlaczego tak poważnie i głęboko traktował życie. Wydaje mi się, że żył tak, aby nie zmarnować ani jednego dnia. Oby udało się nam chociaż po części tak żyć, Drogi Panie Profesorze.

Anna Galicka

*Dr hab. n. med.,
wieloletni pracownik Zakładu Chemii Medycznej UMB.*



Stowarzyszenie Przyjaciół Serca zakończyło bieg

W grudniu 2011 r. zakończyło pracę działające przy Klinice Kardiologii Stowarzyszenie Przyjaciół Serca. Dobiegło do mety po trzynastu latach funkcjonowania. Może nie warto by o tym wspominać, gdyby nie wkład, jaki wniosło

poparciu dla starań, mających na celu unowocześnienie kardiologii. Niestety, nie dysponował środkami na ten cel.

Pomysł powołania stowarzyszenia powstał w gronie ówczesnych moich pracowników – dr. B. Poniatowskiego i ówczesnej dr H. Bachórzewskiej-Gajew-



Wigilijne spotkanie kardiologiczne. Laureaci „srebrnych serduszek” 2006 r. Druga od prawej siedzi – prof. Maria Winnicka, czwarta – prof. Hanna Szwed (Warszawa); w środku w pierwszym rzędzie stoi prof. Michał Myśliwiec.

w rozwój uniwersyteckiej kardiologii. Wielu z Państwa o istnieniu stowarzyszenia słyszało niewiele, pracowało ono bowiem efektywnie, lecz bez rozgłosu. Licząca 70 członków organizacja to tzw. cichy bohater.

Powstanie stowarzyszenia zrodziło się, z jednej strony, z konieczności dokonania szybkich zmian w działalności Kliniki Kardiologii, a z drugiej powodem był brak środków finansowych. Podstawowy cel stowarzyszenia był więc prozaiczny i dotyczył gromadzenia funduszy na rozwój białostockiej kardiologii. Podczas jednej z rozmów ówczesny rektor prof. J. Górski zapewnił mnie, kierownika kliniki, o pełnym

skiej. Dzięki ich zaangażowaniu udało się dopełnić formalności: opracować statut, zarejestrować stowarzyszenie w sądzie, uzyskać status prawny, NIP, Regon itp.

Głównym źródłem dochodów stowarzyszenia stały się wieloosrodkowe badania kliniczne, prowadzone na zlecenie firm farmaceutycznych. Członkowie stowarzyszenia przeprowadzili ich ponad pięćdziesiąt. Jednak nasza działalność nie ograniczała się tylko do realizacji programów. Była wielokierunkowa i znacznie szersza, że wymienię organizację charytatywnych balów w pałacu Branickich, plenerowych imprez promujących profilaktykę chorób układu krążenia, organi-